

STRASZYLI, ŻE NIE ZOBACZĘ ANI DZIECI, ANI MĘŻA

Palina Szarenda-Panasiuk

W nocy nie dają ani materaca, ani nic, aby się nakryć. Śpisz w celi pod ręcznikiem. Leżysz w chłodzie na gołych deskach i się przeziębiasz: stawy, organy płciowe u kobiet.

Palina Szarenda-Panasiuk (rocznik 1975)

Aktywistka Młodego Frontu, Europejskiej Białorusi i ruchu Zubr w Brześciu. Brała udział w wielu kampaniach wyborczych od 1999 roku, w tym Alaksandra Milinkiewicza w 2006 roku i Andreja Sannikaua w 2010 roku. W 2017 roku uczestniczyła w protestach przeciwko prezydenckiemu dekretowi „o pasożytach (darmozjadach)”. Po sfałszowanych wyborach w 2020 roku została w styczniu 2021 roku zatrzymana w Brześciu. W czerwcu skazano ją z artykułów 361 i 364 Kodeksu karnego na dwa lata pozbawienia wolności w kolonii karnej. Później karę tę przedłużano na podstawie art. 411 Kodeksu karnego, mówiącego o „celowym nieposłuszeństwie wobec żądań administracji zakładu karnego”. Wyszła na wolność w lutym 2025 roku.

Przez lata zajmowała się pani działalnością polityczną, między innymi w kampanii Europejska Białoruś, w organizacjach Młody Front czy Zubr. Dlaczego było to dla pani tak ważne, żeby działać w tych organizacjach?

To zaczęło się właściwie w latach 80. XX wieku, czyli w okresie pierestrojki, gdy byłam uczennicą ostatnich klas szkoły podstawowej. Dla Białorusinów ten okres to czas odrodzenia narodowego – poznawaliśmy naszą historię. Dotąd przeszłość retuszowano i mówiono, że ważne jest tylko to, co radzieckie: do 1917 roku niczego nie było, a potem pojawili się Białorusini. Na przełomie lat 80. i 90. XX wieku mieliśmy zalew informacji o historii, o represjach stalinowskich. Na moich oczach padał mur berliński, padały dyktatury obozu socjalistycznego.

Ale to nie było ważne dla wszystkich.

Dla mnie było. Nieważna była legendarna sowiecka kiełbasa, lecz to, że mamy wolność, historię, swoje państwo. Cieszyłam się, gdy symbolami państwowymi stały się flaga biało-czerwono-biała i herb Pogoni. Ciekawiły mnie obrady Rady Najwyższej, gdzie siedzieli ci starzy komuniści, ale była też garstka deputowanych Białoruskiego Frontu Ludowego, którzy pchali do przodu to odrodzenie.

To były już też moje czasy studenckie. Gdy w 1993 roku zdawałam na uczelnię w Brześciu, zaczynaliśmy uczyć się prawdziwej historii Białorusi. Mieliśmy nowe podręczniki, z których przygotowywałam się do egzaminu wstępnego. A gdy przyszłam zdawać, pewna, że zdam, zaczęli mi zadawać

pytania z historii Rosji oraz o bolszewikach i mienszewikach. Oczywiście dla mnie był to szok – była wolność słowa, telewizja stosunkowo wolna, a już wtedy było widać dążenie Rosji do tego, aby nie stracić Białorusi.

Oczywiście nie zdałam tego egzaminu, choć proponowali mi, żebym dała łapówkę, ale nie byłam z tak zamożnej rodziny i czułam się też oszukana, że przyjmują studentów, którzy tylko potrzebują dyplomu i tyle. Poszłam na studia zaoczne.

Na moich oczach budowano dyktaturę – widziałam, jak przyjeżdżają wykładowcy z Rosji. W ich ustach słowo „niepodległość” brzmiało jak przekleństwo.

Czy w pani rodzinie były tradycje patriotyczne?

W domu mówienie o przeszłości było tabu. Większa część rodziny została rozkułaczona w 1948 roku i zesłana do Kazachstanu. Tu została tylko babcia, w Krynkach nad Bugiem. Stąd wziął się strach w rodzinie i przekonanie, że najlepiej niczym się nie interesować. Mój dziadek był żołnierzem do 1939 roku za czasów Polski i wszystkie jego zdjęcia były schowane gdzieś w słoiku w ogrodzie. W naszym starym domu na wsi, który sprzedaliśmy na początku lat 90. XX wieku, nowy właściciel zrobił remont i rozbierał stary komin. I tam znaleźli legitymację wojskową mojego dziadka. Przeszłość była zakopana i zamurowana. Aktywność polityczna budziła tylko strach, bo może się skończyć tragicznie.

Gdy patrzy pani na te lata swojej działalności, czy widzi pani, że przyniosły jakieś efekty?

Tak, nie zważając na trudności, praca u podstaw miała sens. Dla mnie od początku było jasne, że władza Alaksandra Łukaszenki to dyktatura i nie ma sensu bawić się w jakieś gry z nią na jej zasadach. Jest takie powiedzenie, że gra w szachy z oszustem kończy się tym, że dostajesz polem szachowym po głowie. Tu jest to samo.

Pod koniec lat 90., gdy byłam w Młodym Froncie, były jeszcze jakieś seminaria w Polsce, na Litwie. Były organizacje, ale możliwości ich działania ograniczano: najpierw zabierano im pomieszczenia w centrum miasta, potem zabroniono w ogóle mieć jakiegokolwiek pomieszczenia, nawet na przedmieściach, i można było tylko wynająć mieszkania, w których jednocześnie działało kilka organizacji. A potem pod pretekstem ponownej rejestracji zniszczono wszystkie instytucje pozarządowe. Wprowadzono

odpowiedzialność karną za przynależność do niezarejestrowanej organizacji. Były ograniczenia w druku: można było drukować tysiąc ulotek, a potem tylko 299. Cała działalność przeszła do podziemia.

Mówi pani, że nie można grać według zasad reżimu, ale brała pani udział w różnych kampaniach wyborczych jako członkini sztabów, na przykład Alaksandra Milinkiewicza.

Polityczny działacz na Białorusi nie funkcjonuje tak jak członek partii w Polsce, który jest albo w PiS, albo w PO. U nas aktywista musi się zajmować i obroną praw człowieka, i roznoszeniem ulotek, być członkiem Młodego Frontu, Zubra i sztabów kandydatów. Brakowało bowiem ludzi, gdyż wielu przestraszyło się pierwszych represji. Więc w tym kotle zostali tylko ludzie zdeterminowani. Na Białorusi za taką działalność nie tylko nie dostajesz pieniędzy, ale na odwrót – jeszcze dokładasz swoje własne, a gdy nakładają grzywny, sam płacisz.

POJAWIŁO SIĘ PYTANIE, CZY MOŻNA POZBYĆ SIĘ ŁUKASZENKI TYLKO DROGĄ POKOJOWĄ DLA MNIE BYŁO JASNE, ŻE NIE, BO TO NIE JEST CZYSTO BIAŁORUSKA DYKTATURA, LECZ ROSYJSKA OKUPACJA. MOSKWA JUŻ W 1994 ROKU POSTAWIŁA TAM ŁUKASZENKĘ.

Kampania wyborcza dawała możliwość spotkań z ludźmi, na przykład w czasie zbierania podpisów, gdy chodziliśmy po mieszkaniach i rozdawaliśmy ulotki. Ważne, by to robić w dzień, a nie wrzucać nocą do skrzynek. My tłumaczyliśmy ludziom, że i tak wybory będą sfałszowane, opowiadaliśmy się za bojkotem. Trzeba było zarazem pokazywać im, że jest alternatywa dla Łukaszenki – media były zmonopolizowane przez reżim właściwie od 1996 roku. O opozycji wspomiano najwyżej raz do roku, gdy Łukaszenka kogoś obrzucał błotem.

Z czego pani się utrzymywała?

Właściwie od razu dostałam wilczy bilet. W Brześciu mieliśmy filię białoruskiej klasy licealnej i tam przez kilka miesięcy organizowałam spotkania, wycieczki. Tam uczono całkowicie po białorusku i dla reżimu było to solą w oku: zabraniali im rekrutować nowych uczniów, więc została tylko jedna klasa. Liceum skazano na śmierć. I w Brześciu nie było właściwie klas białoruskich: nie było nauczycieli, rodzice musieli składać

petycje w sprawie nauki, a wtedy proponowano lekcje z samego rana, by zniechęcić uczniów. Czyli język białoruski formalnie nie był zabroniony, ale w praktyce nauki w tym języku nie było.

Jak to wyglądało w czasach radzieckich pod koniec lat 80.?

Nic nie świadczyło o tym, że mieszkamy na Białorusi. W szkołach były przedmioty język białoruski czy historia Białorusi, ale podchodzono do nich z lekceważeniem. Poza salą lekcyjną wszystko było po rosyjsku. Białoruski był traktowany jak język obcy, nawet nie francuski czy niemiecki, a na przykład suahili.

Ludzie przeprowadzali się ze wsi do miast i tracili język. W dodatku byli określani mianem „kołchoźników”, gdy mówili po białorusku. „Kołchoźnik” to nie chłop, bo chłop niesie ze sobą jakieś duchowe wartości, a to coś najgorszego: brak kultury i chamstwo.

To była świadoma polityka Rosji, bo Białoruś jest niczym czerwony dywan dla armii rosyjskiej idącej z Rosji na Zachód. Tu ma nie być niczego, co by przeszkadzało. A język mógł przeszkadzać.

Wracając do pani życiorysu, przez pewien czas studiowała pani także w Polsce.

Tak, po protestach w 2001 roku zaczęły się represje. Nie wiadomo było, co będzie dalej. Tak jest po każdym wyborach, że życie polityczne trafia do zamrażarki: ktoś wyjechał, ktoś trafił za kraty, a pozostali nie wiedzą, co robić i czy w ogóle coś robić. Zajmowałam się wtedy pracami dorywczymi, a Polska oferowała różne programy. Pojechałam do Studium Europy Wschodniej UW. Dla mnie jako politolożki ciekawym doświadczeniem było mieszkanie w kraju, który jest demokratyczny. Potem trafiłam na stypendium Kirklanda. To już były lata 2006–2007. To był inny świat, a jeszcze niedawno byliśmy wszyscy w jednej łódce. Przypomniałam sobie, jak studiowałam na Białorusi, gdzie siedzieliśmy w wielkiej sali, a gdzieś tam daleko był profesor. W Polsce przychodzili do nas ambasadrowie, posłowie, redaktorzy naczelni wydawnictw i oni z nami mogli się spotkać na przykład w kawiarni. To była rozmowa, a nie egzaminy. Jak równy z równym. Wiele z tego wyniosłam. Zobaczyłam, jak powinien zachowywać się polityk, człowiek elity.

Później byłam na praktykach w IPN. To też było bardzo ciekawe doświadczenie.

Wielu Białorusinów po nauce w Polsce tam zostaje. Pani jednak zdecydowała się wrócić. Dlaczego?

Podjęłam decyzję, że trzeba walczyć do końca. Dopóki była możliwość, by chodzić po białoruskich ulicach i mówić swoje, należało to robić. Polacy zapłacili krwią za swoją wolność, a ja nie chciałam przychodzić na gotowe. To byłoby niemoralne. Trzeba walczyć o swój kraj, dopóki można. Zajmowałam się różnymi pracami dorywczymi, dołączyłam do kampanii Europejska Białoruś Andreja Sannikaua¹.

Później były lata 2015 i 2017, kiedy Łukaszenka wprowadza dekret o pasożytach, nazywany też dekretem o darmozjadach, który przewidywał opodatkowanie obywateli Białorusi niezatrudnionych oficjalnie w tym kraju. Wtedy też były protesty.

Sytuacja gospodarcza nie była dobra. Łukaszenka brał kredyty z Chin i Rosji i budował sobie rezydencje i nikomu niepotrzebne obiekty sportowe. Problemy narastały, więc nic lepszego nie wymyślili, jak zabierać pieniądze od własnych obywateli. Wielu Białorusinów pracowało za granicą, czy to na Zachodzie, czy w Rosji. Przywozili pieniądze, mieszkali kilka dni w swoim kraju i jechali z powrotem. Pojawił się „dekret o pasożytach”, który miał opodatkować takie osoby, i wywołał wielkie oburzenie: ludzie nie chcieli pracować na Białorusi za grosze. Reżim nie pozwalał pracować, a jeszcze oskarżał ludzi, którzy przywożą pieniądze do własnego kraju, o to, że są darmozjadami. W całym kraju odbywały się marsze protestacyjne, a w Brześciu dodatkowo nałożyła się sprawa chińskiej fabryki akumulatorów, która była groźna dla środowiska.

Ludzie zobaczyli wtedy, jak wielu z nich jest przeciwko Łukaszence. Nie mieli tylko żadnych instytucji, które by ich jednoczyły. Zaczęły się blokady zagranicznych stron. Z kolei serwisy internetowe, które były na Białorusi, nie krytykowały reżimu, ale i go nie chwaliły.

Lata 2017–2019 to był okres represji. Wraz z mężem musieliśmy się ukrywać.

¹ Andrej Sannikau (ur. 1954) – białoruski polityk i działacz opozycyjny. Karierę zaczynał w dyplomacji ZSRR, a potem w kontynuował ją w Ministerstwie Spraw Zagranicznych Białorusi, gdzie doszedł do rangi wiceministra. W 1996 roku przeszedł do opozycji. Był jednym z sygnatariuszy Karty'97. W 2010 roku kandydował na prezydenta kraju. W trakcie powyborczych protestów pobity i uwięziony. W 2011 roku skazany na kilka lat pozbawienia wolności. Po zwolnieniu w 2012 roku uzyskał azyl polityczny na Zachodzie.

Ale w 2019 roku Europejska Białoruś wzięła jednak udział w „wyborach samorządowych”. To była próba przed 2020 rokiem?

Tak, to była próba. Byłam kandydatką w wyborach samorządowych, choć i tak wiadomo było, że te wybory to fikcja, ale chcieliśmy wykorzystać pewien mechanizm. Chodziło o to, żeby pokazać, iż są ludzie, którzy są gotowi zmieniać system. Zbieraliśmy podpisy w centrum Brześcia, mieliśmy biało-czerwono-białą flagę, puszczałyśmy muzykę po białorusku. Ludzie robili wielkie oczy, mówili, że takiej flagi nie widzieli od 20 lat. Chodziliśmy też po mieszkaniach, bo trzeba było zebrać pewną liczbę podpisów. Ludzie się bali, mówili, że już w pracy podpisali listy poparcia dla kogoś.

Milicjanci podchodzili, pytali, my tłumaczyliśmy, że mamy dokumenty, że wszystko jest zgodne z prawem. Patrzyli krzywo, ale odchodzili.

W końcu zebrałam tysiąc podpisów. Przyszłam do miejscowej komisji wyborczej wykonawczego, gdzie siedzą te ciotki jakby żywcem wzięte z czasów Breżniewa we wnętrzach z tej samej epoki. Było jeszcze dwóch kandydatów, blogerów, ale ich nie dopuścili do wyborów. A mnie pozwolili startować. I nawet miałam prawo wystąpić w telewizji obwodowej, pięć minut o siódmej rano, gdy wszyscy śpią albo są w pracy. Napisałam sobie tekst, w którym była mowa o tym, że Łukaszenka to dyktator, a wyborów na Białorusi nie ma, nie trzeba chodzić głosować i walczyć z systemem. Nie było polecenia, by mnie zablokować, więc puścili mój występ na antenę. Jeszcze stałam z biało-czerwono-białą flagą. Był skandal, telefony z Mińska. Może nawet kogoś zwolnili z tej lokalnej telewizji. Mnie nie dopuścili w końcu do wyborów, występ uznali za nielegalny protest i wlepili grzywnę. Miałam uiścić jakąś ogromną sumę: równowartość kilku tysięcy dolarów, przychodzili komornicy, zabierali nam telewizor, pralkę, nawet zegarek ścienny za dwa dolary. Ludzie zbierali dla nas pieniądze za pomocą crowdfundingu.

Ganiali za nami mundurowi przez pierwszą połowę 2020 roku, ciągle czekali tajniacy pod domem, pilnowali. Kupiliśmy nawet z mężem lornetkę, żeby zobaczyć, czy czatują i czy możemy wyjść, czy nie.

Czym dla pani różnił się rok 2020 od tego, co się odbywało przed poprzednimi wyborami? Pamiętam, że po raz pierwszy zobaczyłem wtedy na wiecach wyborczych silną białoruską klasę średnią.

Tak, to prawda – mówi się, że całe rządy Łukaszenki to taka sama dyktatura, ale jakieś zmiany następowały. Pojawił się internet, a z nim niezależna

informacja. Odchodziło stare radzieckie pokolenie, na które stawiał Łukaszenka. Przeżyłam w ZSRR 15 lat i żadnych sentymentów nie miałam. A co dopiero ludzie, którzy urodzili się w latach 80. XX wieku. Baza łukaszyzmu zniknęła, było jasne, że Łukaszenka trzyma się tylko siłą. Jak Ramzan Kadyrow w Czeczenii.

Zmiana pokoleń i utrata monopolu na informację przez Łukaszenkę doprowadziła do tego, że ludzie bez pomocy partii i ruchów, które były zniszczone, zaczęli działać sami. Przyszli nowi ludzie. Oni próbowali sami podejmować decyzje.

Pojawiło się pytanie, czy można pozbyć się Łukaszenki tylko drogą pokojową. Dla mnie było jasne, że nie, bo to nie jest czysto białoruska dyktatura, lecz rosyjska okupacja. Moskwa już w 1994 roku postawiła tam Łukaszenkę i chciała postawić podobną postać na Ukrainie, ale się nie udało, więc zaczęła wojnę. Najpierw była Białoruś, później Gruzja, a dopiero potem Ukraina.

Ludzie zaczęli rozumieć, że 2020 rok będzie takim pojedynkiem z Rosją. W dodatku władza wyznaczyła wybory na lato, a nie na zimę, co znacznie ułatwiło protesty.

Czym konkretnie pani i pani mąż zajmowaliście się w 2020 roku?

Zbieraliśmy podpisy, chodziliśmy na wiece, gdy przyjeżdżała Swiatłana Cichanouska. Czułam, że jest inna sytuacja. To były tłumy ludzi, nie jak wcześniej dziesiątki czy setki. Teraz ludzie przychodzili całymi dzielnicami – tysiącami. Było dużo młodzieży. Nie było podziału na biednych, bogatych, wykształconych i niewykształconych, miasto czy wieś. Walka z Łukaszenką zjednoczyła wszystkich.

Te protesty po sfałszowanych wyborach prezydenckich miały jednak swoje fale, raz było dużo ludzi, raz mniej. Na początku reżim nie wiedział co robić, był agresywny, później był zdezorientowany, a potem przystąpił do kontrataku.

Jako osoba, która widziała wiele, weteranka ruchu opozycyjnego, rozumiałam, że reżim prędzej czy później przystąpi do działań terrorystycznych. Tylko tak można było zastraszyć te miliony ludzi. Ludzie byli wtedy nastawieni bardzo zdecydowanie.

W Brześciu całe miasto było w białych wstążkach, znaku poparcia dla opozycji.

W 2020 roku wszyscy chcieli pozbyć się Łukaszenki, pojawiła się Cichanouska i ludzie na nią głosowali przeciwko Łukaszence. To byli zwykli ludzie, nie aktywiści. Widzieli, jak jest na Zachodzie. Łudzili się, że zagłosują, a on ustąpi. Że mieszkamy w kraju europejskim i wszystko będzie dobrze. Byli więc w szoku z powodu reakcji władzy. To, że władza strzela do ludzi, że latają kule nad głowami.

Dlaczego ludzie nie walczyli radykalnie?

Może nawet byli na to gotowi. Gdy w Brześciu o pierwszej w nocy dyżurowaliśmy przed komisją wyborczą, byliśmy w szoku, gdy ogłoszono, że 80 procent głosów zdobył Łukaszenka. Przecież wiedzieliśmy, że w innych komisjach Cichanouska miała po 60 procent i my sami głosowaliśmy na nią. Ludzie poszli na plac w centrum miasta i już wtedy mundurowi strzelali do ludzi, rzucali granatami hukowymi, nawet pojawiły się barykady. I to była pierwsza noc po wyborach. 16 sierpnia zebrało się 30 tysięcy ludzi na głównym placu. Reżim nie miał jeszcze pomysłu, jak działać. Ale ludzie też nie wiedzieli, co robić, byli jak stado lwów z baranem na czele. Pamiętam, że informację o protestach czerpaliśmy z Telegramu i raz nam mówili, żeby tam iść, potem, żeby tam. Nie było lidera, wszyscy zostali zatrzymani.

Ludzie zbierali się co tydzień w niedzielę, a od poniedziałku do soboty pracowali, płacąc podatki na reżim. Temat strajku ogólnokrajowego gdzieś się rozplynął. Cichanouska nie chciała go organizować. Zresztą nie było u nas takich fabryk jak w Polsce, gdzie w czasach PRL protestowały wielkie zakłady przemysłowe i kraj stał.

Dlaczego mówi pani o robotnikach, chyba ważniejsza jest klasa średnia.

Na Białorusi nie było silnej średniej klasy. Reżim starał się o to, aby ona nie powstała, bo stanowiłaby zagrożenie dla niego.

Panią aresztowano 3 stycznia 2021 roku.

Dla mnie było jasne, że gdy zrobi się chłodno, reżim przejdzie do brutalnych działań. Wzięli się za protesty podwórkowe, doszło do zabójstwa aktywisty Ramana Bandarenki² w Mińsku. Ludzie rozumieli, że mogą każdego zabić. I tak powoli te protesty topniały.

² Został on pobity przez białoruskie organy porządkowe w cywilu w centrum Mińska 11 listopada 2020 roku, w wyniku czego dzień później zmarł.

Było jasne, że Łukaszenka dostał wsparcie od Putina i zgodę na represje. Rosja przysłała też mundurowych.

REŻIM PRÓBUJE NIE TYLKO POKONAĆ SWOICH PRZECIWNIKÓW
POLITYCZNIE, LECZ TAKŻE ZNISZCZYĆ ICH PSYCHICZNIE.
KARNA PSYCHIATRIA TO FORMA DYSKREDYTACJI – WYSTĘPUJESZ
PRZECIWKO ŁUKASZENCE, TO JESTEŚ CHOROBY PSYCHICZNIE.

Mojego męża zatrzymali prewencyjnie pod koniec lipca. Później we wrześniu go zwolnili. A przed sylwestrem zatrzymali go po raz kolejny. Zostałam sama z dziećmi, ale już było jasne, że prędzej czy później mnie zatrzymają: wyносиłam z domu ulotki, czyściłam komputery, telefony. Robiłam to przez cały 3 stycznia. Czułam, że coś będzie. No i wieczorem załomotali do moich drzwi. Ponieważ byłam sama z młodszym synem (starszy był wtedy u babci), powiedziałam, że bandytom drzwi nie otwieram. Zadzwoiłam do dziennikarzy – to było bardzo ważne, żeby o tym wiedzieli, bo służby umiały tak zatrzymać, że ludzie po prostu znikali. To były de facto porwania. Szukano ich tygodniami, a nawet miesiącami.

Funkcjonariusze wyłamali w końcu drzwi do domu. Zaczęły się przeszukania, choć ja wszystko pochowałam i tylko mówiłam, co o nich i Łukaszence myślę.

Dokąd panią wywieźli?

Trafiłam do aresztu tymczasowego. Tam można być trzy dni. Potem trafia się do aresztu śledczego. W Brześciu mieści się on w centrum miasta. Cele były nabite ludźmi, więźniami politycznymi. Wtedy zrozumiałam skalę represji. Nie miałam dostępu do żadnych informacji, kontaktów z bliskimi. Oni mają dyżurnych adwokatów, którzy też są pracownikami służb mundurowych. Po prostu mają wywieszkę: adwokat. Oświadczyłam, że mam swojego adwokata. Ale tak naprawdę na Białorusi zniszczono też instytucję adwokatury: ci ludzie działają jak listonosze, przychodzą, rozmawiają, orientują się, czy jesteśmy żywi, cali i zdrowi. Papiery, które oni potem piszą, są nic nie warte. Mój adwokat przekazał mi, że moja rodzina wie o zatrzymaniu, że z dziećmi jest dobrze, że męża wypuścili, ale ma sprawę karną.

Pani miała też przejść ekspertyzę psychiatryczną. To zupełnie jak za czasów radzieckich...

Tak, to jak karna radziecka psychiatria. Reżim próbuje nie tylko pokonać swoich przeciwników politycznie, lecz także zniszczyć ich psychicznie. Kiedyś działacze zatrzymywali zapobiegawczo pod pretekstem, że niby przeklinali, nie tylko na ulicy, ale też w domu i w samochodzie. Karna psychiatria to forma dyskredytacji – występujesz przeciwko Łukaszence, to jesteś chory psychicznie. Jak można coś takiego robić?

Jak to wyglądało?

Gdy mnie zatrzymano, jeden z funkcjonariuszy był szczególnie chamowaty i obrażał mnie. Był w masce i powiedziałałam do niego: „zdejmuj maskę, co chowasz twarz?”. Próbowałam mu zdjąć tę maskę i go zadrapałam w nos. Uznano to nie za drobne chuligaństwo, lecz za przestępstwo, za napad na milicjanta. To jest ciężki artykuł i potrzebuje ekspertyzy psychiatrycznej. Wtedy im powiedziałałam, że jestem więźniem politycznym i nie mam zamiaru przechodzić żadnej ekspertyzy. Mówili mi o tym jeszcze w areszcie śledczym, gdzie trafiłam po areszcie tymczasowym. Przyszedł do mnie dyżurny psychiatra i powiedział, że jeśli odmawiam, to wyślą mnie do Nawinek pod Mińskiem – tam jest cały kompleks dla psychicznie chorych. To jest karna psychiatria i tak to oceniam.

Trafiłam do tych Nawinek półtora miesiąca po zatrzymaniu. To był cały etap, zawieźli mnie z Brześcia do Baranowicz, tam jest duże SIZO, potem do Waładarki w Mińsku, czyli zakładu karnego przy Waładarskiego, a stamtąd do Nawinek. To była ciężka próba fizyczna i psychiczna, bo każdy wyjazd i przyjazd to pełne przeszukanie wszystkich rzeczy, każą się rozbierać. To jest bardzo poniżające. Coś zgubią, coś zniszczą. Oni wożą zatrzymanych i więźniów w wagonach stołypińskich, trzeba wszystko ciągnąć ze sobą. Więźniom politycznym inni pasażerowie nie mogą pomagać.

Jak wygląda taki wagon?

To jest oddzielny wagon, którym jadą zatrzymani i więźniowie. Okna są zamalowane farbą i zakratowane. Wcześniej wagony tego typu były podpisane jako poczta. Teraz nie wiem, jak jest, może w ogóle nie jest podpisywany, ale jakoś jest oznaczany literami. On stoi na oddzielnych torach i potem jest dołączany do zwykłego składu. W samym wagonie jest korytarz, są kamery, są konwojenci. Są wąskie przedziały podzielone

siatkami. Są trzy poziomy ław. Do środka wpychają tylu ludzi, ilu wejdzie. Niemal w całym wagonie są mężczyźni. Kobiety to jeden–dwa przedziały, w każdym z nich może być do 15 kobiet. Jeszcze każda z rzeczami. Jest duszno. Zanim wagon ruszy, okna są zamknięte, w czasie jazdy mogą być lekko uchylone. Wszyscy palą. Do toalety wyprowadzają – po odjeździe i przed przyjazdem. Wychodzisz, ręce masz mieć z tyłu, mężczyznom więźniom politycznym zakładają kajdanki i są dwaj konwojenci w kamizelkach kuloodpornych. Więźniowie zwykli mają i zapałki, i papier, piszą do siebie listy, a więźniom politycznym zabierają wszystko.

Jak zwykli więźniowie odnosili się do politycznych?

Różny. Większość miała negatywny stosunek do władz i przychylny do nas. Wielu było zaangażowanych w protesty albo przynajmniej o nich wiedzieli. Mówili, że nas rozumieją, bo władza na Białorusi to terror. Dziękowali za to, co robiliśmy. Ci z marginesu traktowali nas inaczej, byli przesiąknięci propagandą. Ale mieli zarazem stosunek pragmatyczny, mogli poprosić o herbatę, papierosy, ale też donosili czy brali udział w prowokacjach. Większość milcząco nas popierała.

Wróćmy jednak do wyjazdu do szpitala.

Z Mińska wieźli mnie więźniarką (autazak) na 20 osób. Tam są metalowe boksy, jak szafy, są kamery, jesteś w kajdankach, wszystkie torby trzeba mieć ze sobą. Dowieźli mnie do Nawinek, gdzie jest oddzielny korpus ekspertyz sądowych. Panują tam warunki prawie jak w SIZO. Jest ogrodzony teren, płot, psy. Są cele-sale. Są drzwi jak w więzieniu, są zamki otwierające się tylko z zewnątrz, są okienka, przez które podają jedzenie. Są wizjery. Ciekawe jest to, że na drzwiach były jakieś hasła: *Жывіе Бяла-руś*, *Маляды Front*, symbole anarchistyczne i daty wyskrobane – 2001 czy 2005 rok. Czyli to już trwało od 20 lat.

TAM JEST DZIKI CHŁÓD. CAŁY TWÓJ RUCH TO TRZY KROKI
WZDŁUŻ śCIANY. NAJCIEŚCIEJ DOBA W DOBĘ SIEDZISZ SKULONA
NA KALORYFERZE. NIE MA WIĘC, JAK SIĘ RUSZAĆ, I PUCHNIEŚ.

W celach nie ma ani kranu, ani toalety. Stoi wiadro, cztery razy w dzień wyprowadzali do toalety. Tam dawali tylko kawałek papieru, nie było żadnej szczotki ani mydła. Można było wypożyczyć książkę,

ale żadnej nie było całej, bo wrywano z nich kartki, żeby się podetrzeć albo sobie zapalić. Stoją tylko łóżka metalowe, na których nie da się spać. Są pręty, przez które przelatuje materac. Dają pościel: poduszkę, prześcieradło. I tam nawet można w dzień leżeć. To odróżnia je od innych miejsc za kratami, jak SIZO, gdzie za leżenie w dzień można trafić do karnej izolatki (SZIZO). Są też wąskie ławki, gdzie ledwo da się usiąść, czasem zrobione z metalowych prętów.

ROZUMIAŁAM, ŻE JEŚLI BĘDĘ NADAŁ STAWIAŁA OPÓR,
TO MNIE PO PROSTU ZABIJĄ, A MOIM ZADANIEM BYŁO WYRWAĆ SIĘ
I DZIAŁAĆ POLITYCZNIE: NIE ZWARIOWAĆ, NIE ZABIĆ SIĘ,
NIE ZOSTAĆ INWALIDKA. MIAŁAM WALCZYĆ.

W Nawinkach byłam trzy tygodnie. Nie zgadzałam się na żadne ekspertyzy. Mówiłam, że jestem więźniem politycznym i nie można wobec mnie stosować karnej psychiatrii. Ostrzegałam, że prędzej czy później funkcjonariusze reżimu poniosą za to karę. Mimo to napisali pod koniec mojego pobytu, że jestem zdrowa psychicznie i że zdawałam sobie sprawę z niebezpiecznych konsekwencji moich działań.

Kto z panią siedział w celi, na sali?

W tej celi były dziewczyna narkomanka i jakaś kobieta, po której widać było, że coś z nią nie tak. Ona była obywatelką Ukrainy, chcieli ją deportować z Białorusi. Ogółem w Nawinkach byli więźniowie polityczni, nie tylko kobiety. Na pewno mężczyźni byli też, bo mówili o tym funkcjonariusze.

Potem wróciła pani do Brześcia.

Tak, tą samą drogą, przez Mińsk i Baranowicze.

W kwietniu, 7 albo 17, wpadli na pomysł, aby oznaczać więźniów politycznych kolorowymi kartkami: żółtymi albo czerwonymi. To było niczym gwiazdy Dawida, które naziści kazali nosić Żydom. Kolor czerwony na kartce oznaczał osobę skłoną do agresji i brania zakładników, a żółty – ekstremistów skłonnych do działalności destrukcyjnej. Ja miałam obydwie! One były na ubraniu i na drzwiach celi. Gdy nas wyprowadzali z celi w SIZO, widziałam, że tam na wszystkich drzwiach są te kartki. Żartowaliśmy, że tam są wszyscy sami swoi, najlepsi ludzie na Białorusi.

W pani celi byli tylko więźniowie polityczni?

Właściwie we wszystkich celach, czy to w Mińsku, czy w Brześciu, wszędzie byli więźniowie polityczni. Byli też zwykli: alkoholicy, drobni złodzieje, no i polityczni. Większość podchodziła do nas ze zrozumieniem, choć byli też tacy, którzy nie wiedzieli, gdzie jest Polska, a gdzie Ukraina.

Początkowo była pani skazana na dwa lata więzienia, a potem tę karę przedłużano?

Potem był artykuł 411 Kodeksu karnego, czyli celowe niepodporządkowanie się administracji więzienia, na podstawie którego można kogoś więzić do końca życia. Można to sfabrykować bez większego wysiłku. Moja znajoma Wiktoryja Kulsza, którą pierwotnie skazano za „organizowanie i przygotowanie działań znacznie naruszających porządek społeczny”, miała już cztery takie wyroki, a ja trzy.

To chyba był trudny moment dla pani i dla pani rodziny. Już miała pani wyjść na wolność, a tutaj kolejny wyrok?

W 2022 roku oni sfabrykowali tę sprawę kilka miesięcy przed tym, jak miałam wyjść we wrześniu. Dwa następne razy robili to w tych obozach koncentracyjnych – na przykład kara kończyła się 5 sierpnia 2023 roku, a oni wywieźli mnie do SIZO w Homlu 2 sierpnia. W 2024 roku kara kończyła się 21 maja, a oni wywieźli mnie w nocy z 19 na 20 maja. Moja rodzina nie wiedziała, że sfabrykowali tę sprawę, bo byłam w reżimie *incomunicado*, nie miałam z nikim kontaktu, nawet z adwokatem. Nie było listów do i od rodziny. Tak było przez większość 2023 roku.

Czy to jest pełna izolacja, czy miała pani kontakt z innymi więźniami?

W kolonii karnej w Zarezczy nie dało się uniemożliwić mi kontaktu z innymi więźniami. Nawet jeśli to są kryminalni, to i tak miałam z nimi kontakt. O ile na Antoszkina w Homlu było od 100 do 150 kobiet więźniów politycznych, to w Zarezczy było ich pięć. Trzymali nas w różnych oddziałach i mogłyśmy się zobaczyć, gdy szłyśmy do pracy czy do stołówki. To były takie działki, na których był budynek i ogrodzone terytorium, mogłyśmy się widzieć z odległości 200 metrów. Gdy byłam w SZIZO i PKT (specjalne pomieszczenie przypominające celę w kolonii karnej), a w tych miejscach byłam 10 miesięcy w całym 2023 roku, nie miałam żadnych

kontaktów. To samo robili z Wiktoryją Kulszą – dokładali starań, żebyśmy nie siedziały w jednej celi.

Za co panią tak karano?

To była kara za „niegrzeczne zwracanie się do administracji”. Przykładowo powiedziałam, że jestem więźniem politycznym.

Czym różniły się kolonie karne w Zareczczy i na Antoszkina w Homlu?

W Homlu kolonia znajduje się w centrum miasta, a w Zareczczy w lesie, bo to jest była baza wojskowa. Tam jest więcej przestrzeni, są drzewa, ale ponieważ to miejsce izolowane, to oni bardziej znęcają się nad ludźmi. W Homlu funkcjonariusze bardziej trzymają się w ryzach, choć oczywiście tam też panuje terror. W Zareczczy 95 procent skazanych odsiaduje wyroki z artykułu 174, czyli są to kobiety, którym zabrano dzieci z powodu jakoby trudnych warunków społecznych – alkohol, brak pracy. Ale – na podstawie dekretu nr 18 Łukaszenki – bardzo często wykorzystuje się to przeciwko więźniom politycznym: zabiera się im dzieci, a bliscy są zmuszani do opieki nad nimi. Otrzymują za to 300 rubli (ok. 366 złotych) miesięcznie. To jest nic, ale te pieniądze stają się długiem więźnia.

Jak więzień ma go spłacać?

W tych obozach koncentracyjnych obowiązuje praca przymusowa. Nie możesz z niej zrezygnować, bo trafiasz do SZIZO. Pracujesz cały miesiąc, eksploatują strasznie, każą pracować ponad normę. Po 14–16 godzin dziennie. Tam jest szwalnia, gdzie szyte są mundury dla funkcjonariuszy reżimu Łukaszenki, a od 2022 roku zaczęli szyć mundury dla Rosjan. I tutaj chodzi o setki tysięcy mundurów. Zresztą tak jest wszędzie, w każdej kolonii. W męskich robią skrzynie dla pocisków, a w kobiecych mundury dla Rosjan. Można zarobić dwa–pięć euro na miesiąc, ale tym kobietom odliczają jeszcze 75 procent na utrzymanie dzieci. Mnie raz naliczono 28 kopiejek. Jak można za to przeżyć, szczególnie gdy nie ma się bliskich, którzy mogą przysłać pieniądze?

Wcześniej każdy mógł przysłać środki więźniowi. Ale gdy w 2020 roku pieniądze zaczęły otrzymywać więźniowie polityczni, władza to zmieniła. Teraz wsparcie finansowe może przekazywać tylko najbliższa rodzina: mąż, żona, ojciec, matka. Mi pomagała matka i dzięki temu przeżyłam. Na terenie kolonii jest sklep, w którym można kupić głównie rosyjskie

towary: kawę, herbatę, z rzadka jakieś produkty mleczne. To ważne, bo w jedzeniu w kolonii nie ma właściwie świeżych produktów, żadnych owoców, nic mlecznego. Są kartofle, makarony, jakieś nibymięso i chleb. Niby nie jesteś głodny, ale nie masz żadnych witamin.

Czy pani stan zdrowia się pogorszył?

W SZIZO trzymali mnie w różnych okresach łącznie przez dziewięć miesięcy od 2021 do 2024 roku. Tam nawet nie dają ci tego jedzenia, które dostałaś w paczkach albo kupiłaś. Otrzymujesz mizerne porcje.

Tam jest dziki chłód. Cały twój ruch to trzy kroki wzdłuż ściany. Najczęściej doba w dobie siedzisz skulona na kaloryferze. Nie ma więc, jak się ruszać, i puchniesz. Nie tyjesz, lecz puchniesz. W nocy nie dają ani materaca, ani nic, żeby się nakryć. Śpisz pod ręcznikiem. Leżysz w chłodzie na gołych deskach i się przeziębiasz: stawy, organy płciowe u kobiet.

Władze więzienia zmuszały panią do współpracy, na którą w końcu się pani zgodziła.

Nie powiedziałabym, że to była współpraca. Rozumiałam, że władza to wróg, z którym w pewnym momencie można się bawić w kotka i myszkę. Ich cel był taki, żebym udzieliła wywiadu w propagandowej telewizji. Moim celem było przechytrzenie ich. Rozumiałam, że jeśli będę nadal stawiała opór, to mnie po prostu zabiją, a moim zadaniem było wyrwać się i działać politycznie: nie zwariować, nie zabić się, nie zostać inwalidką. Miałam walczyć. Ten wywiad w telewizji to była rozmowa z nożem przy gardle i pistoletem u skroni.

Oni mówili, że jeśli się nie zgodzę, to będą mnie karać na podstawie artykułu 411 jeszcze przez 10–15 lat. W tej rozmowie z propagandystami mówiłam same banały, to, co powtarza reżim: że ludzie wychodzili za pieniądze na wiece, jak dobrze rozwija się gospodarka, a sankcje to nic. Później myślałam, że wywiad może im się nie spodobał, bo wcześniej obiecywali, że mnie wypuszczą po tym wideo w maju 2024 roku, i nie wypuścili.

Nie szantażowali dziećmi i pozbawieniem praw obywatelskich?

Oczywiście. Straszili, że nie zobaczę ani dzieci, ani męża.

Wiedziałam, w jaki sposób będą mnie straszyć, bo miałam doświadczenie. Wiedziałam, że jak tylko się wyrwę, to wszystko odwołam. Bałam

się, że będą chcieli ode mnie jeszcze czegoś. Czegoś więcej niż podpisane papierki, które teraz można wyrzucić do kosza.

Jak pani się dowiedziała, że wychodzi na wolność?

Nie wierzyłam w to do ostatniej sekundy. Moje wyjście zależało od tego, jak mocne są naciski w mojej sprawie. Mój mąż też się temu przysłużył, bo nie milczał, a ja mówiłam mu, żeby nawoływał do nałożenia sankcji na Białoruś i działał niezależnie od mojej sytuacji. Moje nazwisko było głośne, także w Parlamencie Europejskim. Deputowana Isabel Santos z Portugalii była moją „matką chrzestną”. Zrozumiałam, że w pewnym momencie dla reżimu będzie wygodniejsze wypuszczenie mnie niż trzymanie u siebie.

Rozumiem, że do ostatniej chwili pani nie wiedziała, dokąd pani jedzie, ani nawet, czy wypuszczają, czy nie?

W kolonii po prostu studiujesz całą kuchnię tych represji, według pewnych znaków obliczasz ich dalsze kroki. Ale jest dużo różnych czynników. Tak naprawdę to zrozumiałam, że mnie wypuszczą dzień przed tym. Zmusili mnie, żebym zadzwoniła do męża. W koloniach karnych każdy ma prawo, żeby dzwonić, a ja odmawiałam, bo to wszystko jest kontrolowane, nagrywane i można tym szantażować: jeśli chcemy, zadzwonisz, a jeśli nie, to nie. I człowiek cierpi z powodu niespełnionej nadziei na choćby chwilę rozmowy z rodziną. Ale ja w ogóle nie telefonowałam. Mówiłam, że jestem więźniem politycznym, jeńcem, a jeńcy do domów nie dzwonią. Tym razem oni mi kazali dzwonić, sami kupili mi kartę telefoniczną do automatu. Pewnie musieli nagrać moje wyjście na kamerę.

Jak wyglądał sam proces wyjścia?

Moi bliscy odebrali mnie z kolonii. Jeszcze pobawiłam się z łukaszystami w tę ich zabawę, poszłam na milicję, zgłosiłam się na dozór. Poszłam nawet do Głównego Zarządu Zwalczenia Przestępczości Zorganizowanej i Korupcji (GUBOPiK), tam podpisałam jeszcze jeden papierek o współpracy. Oni mówili, że mam przychodzić co tydzień, na wszystko się zgadzałam. Obiecałam, że zgłoszę się do urzędu pracy.

Wiedziałam jednak, że będę musiała jak najszybciej opuścić Białoruś. Oni nie wypuszczają więźniów politycznych tak po prostu. Nie mówię o tych, których siłą wyrzucono na Litwę, ale o tych, którym po prostu

kończy się fikcyjny wyrok. Celem reżimu jest ich unieszkodliwienie. Polega ono na tym, że dają tak zwany dozór prewencyjny, który może trwać rok, a może dwa. Więźniom politycznym oczywiście daje się dwa. Tam są takie warunki, że jeśli ktoś zrobi krok w lewo, krok w prawo, to znowu trafi do tego obozu koncentracyjnego. Jest wiele takich ograniczeń, które wskazują, czego człowiekowi nie wolno robić. Trzeba być w domu od dziesiątej wieczorem do szóstej rano. I lubią przychodzić sprawdzić w nocy. Znam ludzi, do których przychodzili po pięć razy. Nie wolno ci wyjeżdżać nie tylko z Białorusi, lecz także z własnego miasta. Kiedy zapytałam, czy mogę pojechać na wieś na cmentarz, a to jest 40 kilometrów od miasta, to nie pozwolili. To zabronione.

MOŻNA SPRZĄTAĆ, PODEJMOWAĆ JEDYNIENAJBRUDNIEJSZE,
NAJTRUDNIEJSZE ZAJĘCIA. W TELEFONIE CZYTAĆ NICZEGO
NIE MOŻNA. ZMIENIASZ SIĘ W WARZYWO. NIE WOLNO NIC SŁYSZEĆ,
NIC MÓWIĆ. I W KAŻDEJ CHWILI, JEŚLI POJAWI SIĘ ROZKAZ,
MOGĄ CI SFABRYKOWAĆ SPRAWĘ.

Zmuszają cię do podjęcia pracy. W przypadku więźniów politycznych to duży problem, bo oficjalnie nie mogą wykonywać wielu prac. Można sprzątać, podejmować jedynie najbrudniejsze, najtrudniejsze zajęcia. To jest kontrola. W telefonie czytać niczego nie można. Zmieniasz się w warzywo. Nie wolno nic słyszeć, nic mówić. I w każdej chwili, jeśli pojawi się rozkaz, mogą ci sfabrykować sprawę. Jeśli trzy razy naruszysz ten nadzór prewencyjny, zostanie wszczęte przeciwko tobie nowe postępowanie karne, trafisz z powrotem do kolonii karnej, z której następnym razem możesz po prostu nie wyjść żywy.

Mój mąż uciekł w 2021 roku z Białorusi, a rok później dzieci. Nie mogli wywierać na mnie presji ani przez mojego męża, ani przez dzieci.

Dlatego zrozumiałam, że nie będę żyć na Białorusi w takich warunkach, więc moim zadaniem było jak najszybsze opuszczenie kraju. Kilkanaście godzin po wizycie w GUBOPiK-u opuściłam w nocy Białoruś.

Już wówczas wyjechała pani do Polski?

Nie było takiej możliwości. Dzięki pomocy organizacji BYSOL pojechałam przez Rosję. Bo to jedyna możliwość, ponieważ nie ma kontroli paszportowej, choć oba państwa mają wspólną bazę osób niewygodnych dla

reżimu, ale są jakieś ścieżki partyzanckie. Są ludzie, którzy za pieniądze przewożą przez granicę.

W nocy jeszcze pojechałam do Mińska, rano Litwini wydali mi wizę w ciągu pół godziny i wyjechałam do Rosji. Dobrze, że to była zima, kupiłam wielki kapelusz, zakutałam się i tak przez cały dzień siedziałam w kawiarni w Mińsku. Nigdzie nie wychodziłam, bo wszędzie są kamery.

Czy myśli pani, że ten reżim upadnie?

Nikt nie jest wieczny. Widzimy, jak Łukaszenka zmienia się w starego Leonida Breżniewa. Pytanie, jak będzie wyglądało przekazanie władzy. Jeśli go zamienią na jakiegoś reprezentanta Rosji, to to żadna zmiana nie będzie. Ale może pojawi się jakieś okno możliwości. Reżimy w Rosji i Białorusi to właściwie jeden system, więc to okno możliwości pojawi się, gdy w Moskwie zachwieje się czekistowski reżim.

Rozmowę przeprowadził Piotr Pogorzelski.